Laura Bellini

Między stronami twojej koszuli

To, co między nimi, nie jest na sprzedaż



Między stronami twojej koszuli

To, co między nimi, nie jest na sprzedaż

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384901694

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Warunki bliskości 12
Rozdział 2 - Rzeczy, których nie da się podpisać 23
Rozdział 3 - Tam, gdzie pęka papier 34
Rozdział 4 - Po drugiej stronie stołu 45
Rozdział 5 - Prawo do odmowy 58
Rozdział 6 - Odległość jednego oddechu 68
Rozdział 7 - To, czego nie powiedzieliśmy 79
Rozdział 8 - Światło po zamknięciu pracowni 90
Rozdział 9 - Ryzyko zapisane w szwach 102
Rozdział 10 - Kiedy zostaje tylko prawda 113
Rozdział 11 - Poranek bez zbroi 123
Rozdział 12 - Cena niedopowiedzeń 134
Rozdział 13 - Nie wszystko można ocalić 144
Rozdział 14 - Prawda między nami 154
Rozdział 15 - Podpis, którego nie widziałam 164
Rozdział 16 - Miejsce po tobie 175
Rozdział 17 - To, co zostaje moje 185
Rozdział 18 - Koszt odzyskania 195
Rozdział 19 - Cena wolności 206
Rozdział 20 - Między nami zostaje światło 217

INTRO

Pierwszą rzeczą, którą zauważyłam, była moja tkanina pod cudzymi palcami.

Nie rozpoznałam mężczyzny, który stał przy najdłuższym stole wystawowym. Miał na sobie jasną, lnianą koszulę z podwiniętymi rękawami, a jego dłoń spoczywała na próbniku, którego nikt poza mną nie powinien jeszcze dotykać. Nie szarpał materiału ani nie przesuwał go bezmyślnie. Przeciwnie, przytrzymywał krawędź między kciukiem a palcem wskazującym, jakby próbował odczytać coś, czego nie zapisałam w dokumentacji.

Zatrzymałam się w drzwiach sali wystawowej toruńskiego Centrum Sztuki i policzyłam do trzech.

Zazwyczaj wystarczało.

Tym razem nie.

— Przepraszam, ale to nie jest eksponat do dotykania.

Mężczyzna uniósł głowę. Nie wyglądał na przyłapanego. Raczej na kogoś, komu przerwano interesującą rozmowę, choć jedynym jego rozmówcą był kawałek starego lnu.

— Wiem — odpowiedział.

— W takim razie dlaczego pan go dotyka?

— Bo ktoś źle oznaczył kierunek włókien.

Spojrzałam na próbnik, potem na niego.

— Ktoś?

— Osoba, która przygotowała opis.

— Czyli ja.

Jego spojrzenie przesunęło się na identyfikator przypięty do mojej marynarki.

— Aurelia Kędra.

Wypowiedział moje nazwisko spokojnie, niemal uważnie. Jakby sprawdzał, czy pasuje do tego, co zobaczył na stole.

— A pan jest?

— Feliks Soból. Introligator.

Nazwisko natychmiast połączyło się z wiadomością, którą dostałam trzy dni wcześniej od kuratorki wystawy. Specjalista od tradycyjnych opraw, trzydzieści pięć lat, własna pracownia, świetne rekomendacje. Miał obejrzeć moje projekty, a następnie pomóc przygotować wspólną kolekcję książkowych opraw z odzyskanych tkanin.

Nie spodziewałam się, że zacznie od podważania mojej pracy.

— To nie jest błąd — powiedziałam. — Materiał został celowo obrócony. W ten sposób wykorzystuję ślady poprzedniego szycia.

Feliks ponownie spojrzał na próbkę.

— W takim razie opisuje pani historię tkaniny, a nie kierunek jej pracy pod naprężeniem.

Nie odpowiedziałam od razu.

Nie dlatego, że zabrakło mi argumentów. Po prostu miał rację, a ja wyjątkowo nie lubiłam odkrywać tego przed pierwszą kawą.

Przeszłam do stołu, odstawiłam tubę z rysunkami i wyjęłam z kieszeni ołówek. Na odwrocie kartonika dopisałam jedno zdanie. Feliks cofnął rękę, robiąc mi miejsce, chociaż nie poprosiłam go o to ani słowem. Pachniał czystym

mydłem, papierem i czymś delikatnie drzewnym. Był na tyle blisko, że zauważyłam nierówny ścieg przy mankiecie jego koszuli. Ktoś naprawił ją ręcznie, starannie, ale bez zamiaru ukrycia naprawy.

Podobało mi się to bardziej, niż chciałam przyznać.

— Teraz lepiej? — zapytałam.

Przeczytał poprawiony opis.

— Znacznie.

— Proszę nie przyzwyczajać się do poprawiania mnie.

Na jego twarzy pojawił się niewielki uśmiech.

— A pani do tego, że zawsze będę się mylił.

Odwróciłam wzrok pierwsza.

Miałam trzydzieści lat i wystarczająco dużo zawodowych rozczarowań, żeby wiedzieć, że interesujący mężczyzna niekoniecznie jest dobrym współpracownikiem. Zwłaszcza kiedy już na początku potrafił rozbroić mnie jednym spokojnym zdaniem.

Ta wystawa nie była dla mnie kolejnym zleceniem. Przez ostatnie osiem miesięcy zbierałam tkaniny z zamykanych zakładów krawieckich, rodzinnych szaf i niewielkich manufaktur. Każdy fragment miał udokumentowane pochodzenie. Każda plama, cerowanie czy wytarte miejsce należały do czyjejś historii. Chciałam stworzyć kolekcję, która nie traktowałaby odzysku jako taniego sposobu na modne wzornictwo.

A przede wszystkim chciałam zachować prawa do własnych projektów.

W poniedziałek zamierzałam przedstawić kuratorce propozycję niezależnej działalności pod własnym

nazwiskiem. Miałam już przygotowany kosztorys, listę potencjalnych odbiorców i warunki współpracy. Bez inwestora przejmującego decyzje. Bez partnera, który przedstawiałby moją pracę jako swoją wizję.

Feliks Soból miał być wykonawcą opraw, nie współwłaścicielem mojego pomysłu.

— Szuka pani czegoś? — zapytał.

Dopiero wtedy zorientowałam się, że od kilku sekund przeglądałam zawartość teczki bez wyraźnego celu.

— Umowy dotyczącej ekspozycji.

— Leży przy wejściu. Kuratorka zostawiła dokumenty dla nas obojga.

Spojrzałam w stronę niewielkiego stolika. Rzeczywiście leżała tam granatowa teczka. Na jej grzbiecie widniał napis: „Kolekcja wspólna — materiały do zatwierdzenia".

Wspólna.

Słowo, które w moim zawodzie potrafiło oznaczać zarówno piękną współpracę, jak i początek bardzo kosztownych nieporozumień.

Podeszłam do stolika i otworzyłam teczkę. Na pierwszej stronie znajdowała się lista eksponatów. Na drugiej harmonogram przygotowań. Trzecia zawierała wstępną propozycję prezentacji kolekcji potencjalnym partnerom komercyjnym.

Tego punktu nie było w uzgodnieniach.

— Wiedział pan o tym? — zapytałam, unosząc kartkę.

Feliks podszedł, lecz zatrzymał się po drugiej stronie stolika.

— O prezentacji?

— O możliwości sprzedaży projektu przed zakończeniem wystawy.

Przeczytał wskazany akapit. Przez krótką chwilę jego twarz pozostała zupełnie nieruchoma.

— Wiedziałem, że organizatorzy rozmawiają z zainteresowanymi firmami.

— Ja nie wyraziłam zgody na sprzedaż praw.

— To jeszcze nie jest umowa sprzedaży.

— Ale jest zaproszeniem do rozmowy o niej.

Zamknęłam teczkę nieco mocniej, niż zamierzałam. Feliks nie próbował mnie uspokajać. Zamiast tego odsunął z blatu szklaną karafkę, która znalazła się niebezpiecznie blisko krawędzi.

— Powinna pani poprosić o wyjaśnienie przed podpisaniem czegokolwiek — powiedział.

— Zamierzam.

— Dobrze.

Ta prosta odpowiedź zaskoczyła mnie bardziej niż wcześniejsza uwaga o włóknach. Przywykłam do mężczyzn, którzy moje zdecydowanie odbierali jak osobistą prowokację. Feliks nie próbował zmienić mojego zdania. Przyglądał mi się tylko z koncentracją, której nie umiałam jeszcze zinterpretować.

— Pan nie zamierza mnie przekonywać, że przesadzam?

— Nie znam jeszcze wszystkich warunków.

— A gdyby pan znał?

— Powiedziałbym, co o nich myślę.

— Nawet gdyby mi się to nie spodobało?

— Zwłaszcza wtedy.

Powinnam była uznać go za nieznośnego.

Zamiast tego poczułam niebezpieczną ochotę, żeby dowiedzieć się, jak wygląda, kiedy przestaje być taki opanowany.

Za wysokimi oknami przesuwały się chmury. Jesienne światło padało na próbki lnu, bawełny i jedwabiu, wydobywając z nich nierówności, których nie pokazałaby żadna fotografia. Feliks wrócił do stołu i ostrożnie odwrócił jedną z niebieskich tkanin.

— Ten fragment był kiedyś koszulą? — zapytał.

— Tak. Męską. Z lat osiemdziesiątych.

— Zostało z niej niewiele.

— Wystarczająco, żeby opowiedzieć coś nowego.

Dotknął miejsca po dawnym guziku, a potem spojrzał na mnie.

— Nie wszystko, co zostaje po człowieku, trzeba od razu przerabiać.

W jego głosie pojawiła się nuta, której wcześniej nie słyszałam. Cicha, pozbawiona zawodowej pewności.

— Czasami właśnie dlatego warto — odpowiedziałam. — Żeby coś nadal mogło być ważne.

Przez moment patrzyliśmy na siebie ponad rozłożonym materiałem. Nie wiedziałam, czy rozumiałam go właściwie. Miałam jednak wrażenie, że ta rozmowa przestała dotyczyć wyłącznie opraw.

Telefon Feliksa zawibrował na stole. Ekran rozświetlił się na sekundę. Dostrzegłam jedynie początek wiadomości: „W sprawie przekazanych praw…”.

Odwrócił aparat wyświetlaczem do dołu.

Nie skomentowałam tego. Nie miałam powodu interesować się jego korespondencją, a mimo to zapamiętałam te cztery słowa.

— Muszę wykonać telefon — powiedział. — Wrócę za kilka minut.

Skinęłam głową.

Przy drzwiach zatrzymał się jeszcze i obejrzał przez ramię.

— Pani Aurelio?

— Tak?

— Proszę nie podpisywać dziś tej propozycji.

— Dlaczego?

Zawahał się, jakby rozważał kilka możliwych odpowiedzi.

— Bo powinniśmy najpierw ustalić, co naprawdę należy do każdego z nas.

Wyszedł, zanim zdążyłam zapytać, dlaczego powiedział „powinniśmy".

Zostałam sama w sali pełnej tkanin, dokumentów i planów, które jeszcze godzinę wcześniej wydawały mi się bezpieczne. Przesunęłam palcami po niebieskim lnie. Materiał był miękki, niemal ciepły, a wzdłuż jego krawędzi biegł ślad dawnego szwu.

Pomyślałam o ręcznie naprawionym mankiecie Feliksa.

O tym, jak uważnie dotykał mojej pracy.

I o wiadomości, którą odwrócił przede mną.

Najbardziej niepokoiło mnie jednak coś innego: kiedy znów usłyszałam jego kroki na korytarzu, chciałam, żeby wrócił nie tylko ze względu na wystawę.

Czy potrafiłabym dopuścić do siebie człowieka, którego już podczas pierwszego spotkania zaczynałam podejrzewać o ukrywanie prawdy?

Rozdział 1 - Warunki bliskości

Feliks wrócił do sali wystawowej z miną człowieka, który zakończył trudną rozmowę, ale nie uzyskał odpowiedzi, na której mu zależało. Schował telefon do kieszeni i przez chwilę przyglądał się rozłożonym na stole materiałom. Nie zapytałam, kto dzwonił. Byliśmy sobie obcy, a ja nie zamierzałam zaczynać znajomości od wchodzenia w cudze sprawy. Miałam jednak doskonałą pamięć do szczegółów, zwłaszcza tych, które ktoś próbował ukryć. Słowa o przekazanych prawach nadal tkwiły mi w głowie, chociaż rozsądek podpowiadał, że mogły dotyczyć dowolnego zlecenia.

— Rozmawiałem z kuratorką — powiedział. — Przyjdzie za pół godziny. Do tego czasu możemy ustalić, czy w ogóle potrafimy razem pracować.

— Znakomity początek współpracy. Zakłada pan możliwość porażki, zanim cokolwiek zrobiliśmy.

— Wolę przyznać, że istnieje, niż odkryć ją po wydaniu pieniędzy.

Wyjął z torby niewielki przedmiot owinięty szarym papierem. Kiedy rozchylił opakowanie, zobaczyłam książkę wielkości dłoni, oprawioną w płótno o kolorze przygaszonej zieleni. Jej grzbiet był lekko zaokrąglony, narożniki starannie wykończone, a na przedniej okładzinie biegła cienka linia ręcznego haftu. Nie wyglądała jak próbka przygotowana dla klienta. Raczej jak rzecz, którą ktoś zrobił z potrzeby zachowania czegoś ważnego.

— To pańska propozycja? — zapytałam.

— Przykład ograniczeń, o których musimy porozmawiać.

Otworzył książkę. Strony rozłożyły się miękko, bez nieprzyjemnego trzasku grzbietu. Znałam wystarczająco wielu rzemieślników, by dostrzec różnicę między poprawnym wykonaniem a prawdziwą biegłością. Feliks nie musiał opowiadać o swoich umiejętnościach. Trzymałam właśnie ich dowód.

— Piękna robota — przyznałam.

— Dziękuję. Teraz proszę spróbować zamknąć ją jedną ręką.

Zrobiłam to. Okładka stawiła delikatny opór.

— Materiał jest za sztywny?

— Dla tej konstrukcji. Przy grubszej tekturze problem zniknie, ale książka straci lekkość. Przy cieńszej szybciej odkształci się grzbiet. Dlatego nie mogę obiecać, że każda wybrana przez panią tkanina nada się do każdego rodzaju oprawy.

Odłożyłam przedmiot i sięgnęłam po własny próbnik.

— A ja nie mogę obiecać, że będę wybierała materiały wyłącznie według wygody wykonawcy. Wtedy cały sens projektu zniknie.

— Nie chodzi o wygodę.

— A o co?

— O uczciwość wobec przedmiotu, który chcemy stworzyć.

Zamilkłam. Miałam przygotowaną odpowiedź, lecz zatrzymałam ją, zanim wypowiedziałam pierwsze słowo. W głosie Feliksa nie było protekcjonalności. Mówił o konstrukcji z podobną powagą, z jaką ja mówiłam o pochodzeniu tkanin. Nagle zrozumiałam, że nie spotkałam kolejnego fachowca gotowego wykonać moje instrukcje. Spotkałam człowieka,

który również miał własną wizję i nie zamierzał z niej rezygnować.

To komplikowało wszystko.

— Zróbmy próbę — zaproponowałam. — Wybierzemy trzy materiały. Pan pokaże, co można z nich wykonać bez niszczenia ich charakteru. Ja zdecyduję, czy rezultat odpowiada koncepcji.

— A jeśli się nie zgodzimy?

— Poszukamy czwartego materiału.

Uśmiechnął się.

— Nie lubi pani przegrywać.

— Nie lubię sytuacji, w których ktoś nazywa kompromisem moją kapitulację.

Przez krótką chwilę patrzył na mnie bez słowa. Potem przesunął zieloną książkę w moją stronę.

— W takim razie mamy pierwszy wspólny punkt.

Nie byłam pewna, czy mówił o pracy.

Rozłożyliśmy próbki na długim stole. Wybierałam fragmenty według ich historii, koloru i śladów użytkowania. Feliks badał splot, elastyczność oraz zachowanie materiału przy zagięciu. Co pewien czas prosił mnie o wyjaśnienie decyzji, ale nie robił tego po to, żeby ją zakwestionować. Słuchał i dopiero później przedstawiał własne zastrzeżenia. Zaskakująco szybko znaleźliśmy rytm, w którym żadne z nas nie musiało udawać mniej kompetentnego.

Najdłużej zatrzymaliśmy się przy jasnej bawełnie z niewielką, niemal niewidoczną łatą.

— Skąd pochodzi? — zapytał.

— Z koszuli należącej do mężczyzny, który przez czterdzieści lat prowadził mały zakład fotograficzny. Jego córka przekazała mi kilka ubrań po zamknięciu pracowni. Chciała, żeby zostały wykorzystane, ale nie zamienione w dekorację pozbawioną znaczenia.

Feliks przesunął palcem wzdłuż szwu.

— Łata została wszyta od środka.

— Tak. Właściciel najwyraźniej nie chciał, żeby była widoczna.

— Albo chciał, żeby koszula nadal dobrze wyglądała, choć wiedział, że została naprawiona.

Spojrzałam na niego.

— To dla pana istotna różnica?

— Ogromna. Pierwsza wersja mówi o ukrywaniu uszkodzenia. Druga o trosce.

Nie odpowiedziałam. Wolałam nie przyznawać, że jedno zdanie zmieniło sposób, w jaki patrzyłam na materiał znany mi od kilku miesięcy.

Przygotowałam wstępny szkic oprawy, w której fragment łaty miał znaleźć się przy grzbiecie. Feliks stanął obok, zachowując wygodny dystans. Kiedy pochyliłam się nad rysunkiem, zauważyłam jego dłoń opartą o blat. Miał drobne ślady po skaleczeniach, charakterystyczne dla kogoś, kto codziennie pracował ostrymi narzędziami. Nie próbował ukrywać ani tych blizn, ani nierównego mankietu własnej koszuli.

— Pani szkic jest piękny — powiedział. — Ale przy takim ułożeniu tkanina będzie pracowała dokładnie w miejscu naprawy.

— Wiem.

— I mimo to pani go narysowała?

— Chciałam zobaczyć, czy znajdzie pan rozwiązanie.

Odwrócił głowę w moją stronę.

— Sprawdza mnie pani?

— Oczywiście.

— Przynajmniej jest pani szczera.

— Zazwyczaj.

Ostatnie słowo zabrzmiało inaczej, niż zamierzałam. Feliks uniósł lekko brwi, lecz nie wykorzystał okazji do dalszego flirtu. Zamiast tego sięgnął po ołówek i narysował drugi wariant, w którym szew stanowił element konstrukcji, a nie słaby punkt oprawy.

Przyglądałam się jego pracy z rosnącym zainteresowaniem. Miał pewną rękę i niezwykłą cierpliwość do szczegółów. Nie poprawiał mojego projektu tak, żeby stał się jego własnym. Rozwijał pomysł, który już istniał.

— To może zadziałać — powiedziałam.

— Może?

— Niech pan nie oczekuje pochwał przed wykonaniem prototypu.

— W takim razie będę musiał na nią zapracować.

Naszą rozmowę przerwało wejście Hanny Radeckiej, kuratorki wystawy. Hanna była energiczną kobietą o krótkich siwych włosach i zwyczaju przechodzenia od powitania bezpośrednio do spraw organizacyjnych. Przywitała nas, po czym położyła na stole tablet z harmonogramem wydarzeń.

— Widzę, że nie zdążyliście się pozabijać. To obiecujące.

— Jeszcze rozmawiamy o warunkach — odpowiedziałam.

— Właśnie dlatego przyszłam. Zarząd centrum zatwierdził prezentację kolekcji na koniec przyszłego miesiąca. Chcemy pokazać sześć gotowych opraw, dokumentację materiałów i proces powstawania projektu.

— Sześć? — Feliks odsunął szkic. — Wstępnie mówiliśmy o czterech.

— Dostaliśmy większą przestrzeń. To dobra wiadomość.

— Dobra dla organizatorów — zauważyłam. — Dla nas oznacza dodatkową pracę.

Hanna westchnęła.

— Aurelio, wiem, że lubisz mieć wszystko zapisane. Dopracujemy szczegóły.

— Właśnie teraz chciałabym je dopracować. W dokumentach pojawiła się informacja o prezentacji komercyjnej. Nie była częścią wcześniejszych ustaleń.

Kuratorka spojrzała na Feliksa, a potem z powrotem na mnie.

— Zainteresowanie wyraziło kilka firm związanych z designem i rzemiosłem. Chcemy jedynie umożliwić rozmowy.

— Kto będzie mógł przedstawić projekt jako własny?

— Oboje, oczywiście.

— A kto będzie uprawniony do negocjowania jego wykorzystania?

Hanna odłożyła tablet.

— To ustalicie między sobą. Centrum nie zamierza przejmować waszych praw.

— W takim razie proszę wykreślić z materiałów sformułowanie o możliwości udostępnienia kolekcji

partnerom zewnętrznym do czasu podpisania odrębnego porozumienia.

Zapadła cisza. Feliks przyglądał się kartce, którą wcześniej położyłam obok próbnika. Nie stanął po stronie Hanny, ale też nie poparł mnie od razu.

— To rozsądne — powiedział w końcu. — Nie powinniśmy prezentować czegoś jako dostępnego, jeśli nie uzgodniliśmy zakresu praw.

Kuratorka skinęła głową, choć wyraźnie nie była zachwycona.

— Dobrze. Zmienimy zapis. Ale potrzebuję od was wstępnego porozumienia przed poniedziałkiem.

— Przygotuję propozycję — powiedziałam.

— Wspólnie — poprawił mnie Feliks.

Spojrzałam na niego.

— Słucham?

— Jeżeli dokument ma określać nasze zobowiązania, chcę uczestniczyć w jego przygotowaniu.

— Zamierzałam przesłać panu projekt do uwag.

— Wolę rozmawiać, zanim poświęci pani kilka godzin na coś, co może wymagać zmian.

Hanna przenosiła wzrok z jednego na drugie. W końcu uśmiechnęła się z widoczną ulgą.

— Świetnie. Widzę, że poradzicie sobie beze mnie.

Kiedy wyszła, sala nagle wydała mi się znacznie cichsza. Za oknami zaczynało padać, a miękkie światło rozpraszało się na jasnych ścianach. Feliks zamknął notes i odsunął krzesło.

— Jest coś, o czym powinniśmy porozmawiać, zanim zaczniemy pisać porozumienie — powiedział.

— Mam wrażenie, że właśnie to robimy od godziny.

— Nie o pieniądzach ani terminach.

Jego powaga sprawiła, że przestałam porządkować próbki.

— W takim razie o czym?

— O sposobie podejmowania decyzji. Nie chcę być człowiekiem, który tylko wykonuje pani rysunki. Wiem, że ma pani własną koncepcję i nie zamierzam jej przejmować. Ale jeśli mam podpisać oprawę swoim nazwiskiem, muszę mieć wpływ na konstrukcję i możliwość odmowy wykonania czegoś, co uważam za nietrwałe.

— Rozumiem.

— Nie jestem pewien.

— Dlaczego?

— Bo słyszę, jak mówi pani „rozumiem", a jednocześnie już przygotowuje odpowiedź.

Przez chwilę miałam ochotę zaprzeczyć. Niestety, rzeczywiście układałam w głowie argumenty. Zamiast tego oparłam dłonie na krawędzi stołu.

— Dobrze. Powiem uczciwie. Boję się, że jeśli oddam komuś część decyzji, na końcu usłyszę, że projekt nie jest już mój.

Feliks nie odpowiedział natychmiast.

— A ja boję się pracy, w której moje nazwisko będzie jedynie podpisem pod cudzą odpowiedzialnością.

To był pierwszy moment, kiedy jego opanowanie wydało mi się czymś więcej niż cechą charakteru. Mówił jak ktoś, kto znał cenę wcześniejszych kompromisów.

— Czyli oboje mamy powody, żeby zachować ostrożność — stwierdziłam.

— Tak. Tylko ostrożność nie powinna oznaczać braku zaufania do kompetencji drugiej osoby.

Przyznałam mu rację, choć kosztowało mnie to więcej, niż chciałam pokazać. Ustaliliśmy, że wybór tkanin, ich pochodzenie i sposób prezentacji historii pozostaną po mojej stronie. Feliks miał odpowiadać za rozwiązania introligatorskie, bezpieczeństwo konstrukcji i trwałość opraw. Decyzje wpływające na wygląd całej kolekcji będziemy zatwierdzać wspólnie. Żadne z nas nie miało prawa samodzielnie przekazać projektu do produkcji ani składać ofert w imieniu drugiego.

Kiedy zapisałam ostatni punkt, Feliks spojrzał na mnie z wyraźnym zainteresowaniem.

— Właśnie stworzyła pani zasady współpracy, w których każde z nas ma możliwość powiedzenia „nie".

— To chyba dobrze.

— Bardzo. Zwłaszcza jeśli oboje potrafimy to uszanować.

Zamknęłam notes. Było późne popołudnie, a ja od rana wypiłam jedynie pół filiżanki kawy. Feliks zauważył moje spojrzenie skierowane ku pustemu kubkowi.

— Jadła pani dzisiaj coś konkretnego?

— To pytanie zawodowe?

— Nie. Zwykła ciekawość.

— W takim razie odpowiedź brzmi: niewiele.

— Jest niedaleko miejsce, w którym robią dobre kanapki. Mogę pokazać, gdzie.

— Próbuje pan zakończyć nasze negocjacje jedzeniem?

— Gdybym próbował panią przekupić, wybrałbym coś droższego.

Roześmiałam się, zanim zdążyłam powstrzymać reakcję.

Zaskoczył mnie nie sam żart, ale to, że nie oczekiwał po nim żadnej nagrody. Nie przysunął się bliżej, nie wykorzystał mojego rozbawienia do kolejnej uwagi. Po prostu czekał na odpowiedź.

— Dzisiaj nie mogę — powiedziałam. — Muszę jeszcze uporządkować dokumentację.

— Rozumiem.

Podniósł torbę i zaczął zbierać swoje rzeczy, nie okazując rozczarowania. Wtedy zdałam sobie sprawę, że rzeczywiście przyjął odmowę bez próby negocjowania. Ta zwyczajna uprzejmość okazała się nieoczekiwanie atrakcyjna.

— Ale jutro możemy porozmawiać o umowie — dodałam. — Przy kawie. Poza centrum.

Feliks spojrzał na mnie uważnie.

— To propozycja służbowa?

— Na początek.

Jego uśmiech był powolny, niemal niedostrzegalny.

— W takim razie jutro. O jedenastej?

— Pasuje.

Kiedy odprowadzałam go wzrokiem do drzwi, zauważyłam, że po raz pierwszy od dawna nie myślałam wyłącznie o tym, jak zabezpieczyć swoją pracę.

Zastanawiałam się również, co jeszcze mogłabym odkryć o człowieku, który potrafił sprzeciwić mi się bez próby odebrania mi głosu.

Na stole leżał jego szkic oprawy z widocznym szwem. Dopisałam pod nim dwa słowa: „Wspólna konstrukcja".

Brzmiały niewinnie.

Nie miałam jeszcze pojęcia, jak wiele mogą znaczyć.

Rozdział 2 - Rzeczy, których nie da się podpisać

Następnego ranka przyszłam do kawiarni dziesięć minut przed umówioną godziną. Zrobiłam to świadomie. Potrzebowałam chwili, żeby uporządkować myśli, zanim Feliks znowu zacznie zadawać pytania, na które nie potrafiłam odpowiadać obojętnie. Wybrałam stolik przy oknie, z widokiem na mokry bruk jednej z uliczek toruńskiej starówki. Na krześle obok położyłam teczkę z propozycją porozumienia, a telefon odwróciłam ekranem do dołu. Chciałam zachować profesjonalny charakter spotkania, nawet jeśli poprzedniego dnia zbyt często zastanawiałam się, jak wyglądałby Feliks, gdyby się uśmiechnął naprawdę szeroko.

Przyszedł punktualnie. Miał na sobie ciemny płaszcz, pod którym dostrzegłam kolejną lnianą koszulę, tym razem w kolorze ciepłej szarości. W jednej ręce trzymał płaską teczkę, w drugiej niewielki papierowy pakunek.

— Dzień dobry — powiedział, zatrzymując się przy stoliku. — Czy to miejsce jest wolne?

— Zależy, czy przyniósł pan kolejne argumenty przeciwko moim projektom.

— Tylko trzy.

— W takim razie proszę usiąść. Cztery byłyby nie do przyjęcia.

Zdjął płaszcz, a ja zauważyłam, że mankiet jego koszuli został zacerowany ciemniejszą nicią. Nie był to ten sam ścieg co poprzedniego dnia. Przez chwilę zastanawiałam się, ile ubrań przechowuje dłużej, niż uznałby za rozsądne